

Z LUDOWEJ LEGENDY

Gdy Bóg powołał do istnienia świat i zabierał się do tworzenia ludzkich osad, wysłał najpierw anioła z dwoma workami duszyczek. W jednym worku byli mądrzy ludzie, a w drugim – wyłącznie głupi.

Lecąc wysoko nad ziemią, anioł wysiewał garstkami duszyczki ludzi – garstka mądrych i garstka głupich. W taki sposób obdzielił cały świat, aby na jedno miasto nie przypadło więcej mądrych czy głupich niż na inne.

Ale gdy anioł przelatywał nad miejscem, w którym obecnie znajduje się Chełm, przytrafiło mu się nieszczęście – zahaczył workiem z duszyczkami głupców o czubek góry. Worek się rozwał i wszystkie głupie dusze wysypały się na to jedno miejsce.

I wkrótce wyrosło tu miasto Chełm.

ODSUNĄĆ GÓRĘ OD MIASTA

Pewnego dnia chełmscy Żydzi zauważyli, że wysoka góra wznosząca się w środku miasta im zawadza – niepotrzebnie zajmuje miejsce, gdyż w dzień przesłania słońce, a w nocy – księżyc i to wtedy, kiedy trzeba ogłosić początek nowego miesiąca*. I co tu począć?

* Początek nowego miesiąca księżycowego w kalendarzu żydowskim (hebr. *Rosz Chodesz*, dosł. głowa miesiąca) obchodzony jest uroczyście, w szabat poprzedzający nowy miesiąc odmawiane są specjalne modlitwy.

Zwołali więc naradę, zastanawiali się trzy dni i trzy noce i wyszło na to, że nie ma innego sposobu, tylko natychmiast wypchnąć górę z miasta.

Tak też zrobili.

Nazajutrz wczesnym rankiem wszyscy chełmscy gospodarze udali się na miejsce, w którym wznosiła się góra, i zaczęli ją pchać mocno, z całej siły.

Pchali ją przez kilka godzin, aż się zmęczyli i spocili.

Zdjęli więc chałaty i pchali dalej.

A tymczasem, kiedy chełmianie byli zajęci pchaniem góry, zakradli się złodzieje i zabrali wszystkie chałaty.

Gdy w chwilę później chełmianie się odwrócili, zobaczyli, że chałatów nie ma. Wszystkich ogarnęła radość i zapanowało wesele.

– Bravo! – klaskali w dłonie radośnie. – Przesunęliśmy górę tak daleko, że nawet nie widać naszych chałatów...

WSADZILI KSIĘŻYC DO BECZKI

Fakt, że mędrcy z Chełma potrafili odsunąć od miasta wielką górę – mieści się w głowie, ale żeby złapać księżyc z nieba, to już jest niepojęte! A jednak chełmianom się to udało.

Jak doszło do tego, że ściągnęli księżyc z nieba, i po co im to było?

Cała rzecz wydarzyła się nie dlatego, uchowaj Boże, że mieszkańcy Chełma się zbuntowali, Boże, nie dopuść, przeciwko Stwórcy Wszechświata, ale po prostu – dla zarobku.

W Chełmie wówczas źle się działo: gmina żydowska była biedna, a musiała wносить bardzo wysokie podatki na rzecz miasta, ponadto trzeba było wyprawić wesele trzem pannom na wydaniu – sierotom po starym rabinie, należało ogrodzić cmentarz i postawić w mykwie kociołek na ciepłą wodę, a co najgorsze – chełmski dziedzic niemal codziennie podwyższał taksy i czynsze.

Wszyscy w Chełmie łamali sobie głowy: skąd wziąć pieniądze na te najpilniejsze wydatki?

Zwołano więc naradę, zastanawiano się trzy dni i trzy noce i wyszło na to, że Chełm musi znaleźć takie źródło dochodu, które się nigdy nie wyczerpie – coś, co by się znajdowało wyłącznie w Chełmie, tak żeby z całego świata przyjeżdżano do Chełma i jeszcze za to dobrze płacono.

Ale skąd wziąć coś takiego?

I znów chełmscy mędracy zwołali naradę, zastanawiali się, marszcząc czoła tak długo i z takim natężeniem, aż wpadli na pomysł:

Trzeba zabrać księżyc.

Należy zdjąć go z nieba, umieścić w synagodze, a wtedy nigdzie indziej księżycy nie będzie, Żydzi z całego świata przyjadą na uroczystość powitania księżycy* do Chełma, więc będzie można na tym nieźle zarobić.

Ale w jaki sposób zabrać księżyc?

I znów zwołano naradę. Chełmianie zastanawiali się i rozmyślali siedem dni i siedem nocy.

Wpadli na pomysł, żeby związać wszystkie drabiny z całego miasta, zrobić z nich jedną długą drabinę, postawić ją przy starej synagodze, tak żeby szames** mógł wejść na drabinę i ściągnąć księżyc na dół.

Ale ogarnął ich strach, bo przecież szames jest niezdarą, więc jeśli spadnie z drabiny i się zabije, miastu dojdzie jeszcze jeden

* Hebr. *Kidusz lewana*, ceremonia uświęcania księżycy odbywająca się zazwyczaj pod gołym niebem, w sobotni wieczór, w trzy dni po ogłoszeniu narodzin księżycy.

** Z hebr. *szamasz*, wykonuje prace pomocnicze w synagodze, dba o czystość, utrzymuje w porządku zwoje Tory, asystuje rabinowi i kantorowi, niekiedy prowadzi modlitwy.

kłopot – trzeba będzie utrzymać jego żonę i dzieci, zatem lepiej byłoby posłać po szabes goja*.

I tu zaczęła się wrzawa:

– Co będzie z tym księżycem? I co pocniemy, jeśli szabes goj zdejmie księżyc z nieba i zabierze go na chrześcijańską stronę?

Krótko mówiąc, znów się zastanawiali i rozmyślali, i wpadli na nowy pomysł:

– Trzeba postawić obok synagogi beczkę z wodą, a gdy księżyc znajdzie się w wodzie, trzeba szybko owinąć beczkę grubym workiem, zawiązać i sprawa załatwiona.

Jak powiedzieli, tak uczynili.

Zbliżała się północ, księżyc wędrował po niebie, taki jasny i spokojny, jak gdyby nigdy nic – na podwórzu synagogi zebrali się przywódcy gminy z beczką wody, a gdy księżyc odbił się w wodzie, beczkę szybko utkwiono grubym workiem, mocno związano i wniesiono do synagogi. Chełmianie byli pewni, że na całym świecie nie ma już księżycy i wszyscy Żydzi przybędą do Chełma na now księżyc.

W następnym miesiącu przyszedł jakiś człowiek i powiedział, że widział w Turzysku [Trisk – Wołyń] księżyc w nowiu. I za to kłamstwo spuszczone mu baty, przecież księżyc jest razem z beczką wody obwiązany workiem i znajduje się w synagodze, więc jakim cudem mógłby się znaleźć w Turzysku?

Ale potem przyjechał ktoś z Włodzimierza Wołyńskiego [Ludmir] i z Kowla i opowiedział, że tam również widziano księżyc w nowiu. Chełmianie jednak nie dawali temu wiary, bo czego też wrogowie nie wymyślą.

Tak się przynajmniej pocieszano.

* W myśl religijnego prawa żydowskiego podczas szabatu nie wolno wykonywać różnych prac – w sumie zakaz obejmuje 36 kategorii – zatem wynajmowano np. do rozniesienia ognia nie-Żydów.

Dopiero kiedy ludzie zauważyli, że nikt do Chełma nie przyjeżdża, zdjęto worek z beczki i przekonano się, że księżycza rzeźczywieście nie ma – i cały Chełm padł na ziemię ze strachu.

– Cuda i dziwy! – chełmianie kiwali głowami. – Tak dobrze schowaliśmy księżyc, a on jednak uciekł... To znaczy, że na tym Bożym świecie nie ma już żadnej dobrej kryjówki.

MEŁAMED* I KOZIOŁ

Chełmskiemu mełamedowi zachorowała żona, wobec tego ruszył w drogę do małego miasteczka, gdzie kupił kozę.

Prowadził na sznurku tę kozę do domu, do Chełma, a po drodze mijał karczmę. Mełamed pomyślał, że skoro z Bożą pomocą nabył kozę i prowadzi ją na sznurku, to powinien teraz usiąść i wypić łyk wódki.

Wprowadził więc kozę do obory, a sam wszedł do karczmy i poprosił o wódkę.

Karczmarz od razu poznał, że ma przed sobą mieszkańca Chełma, pomyślał więc sobie: trzeba mu spłatać psikusa. Poszedł do stajni, zabrał kozę, a na jej miejsce przyprowadził kozła.

Mełamed wypił kieliszek wódki, zakąsił, po czym wrócił do stajni, złapał za sznurek i wyszedł, prowadząc kozła.

Gdy wrócił do domu, zapanowała wielka radość – pomyśleć tylko, mają własną kozę! Żona zabiera się do dojenia kozy, a tu – nieszcześnie, pech jakiś, kozy nie można wydoić!

– Ty niezguło, dałeś się oszukać, wcisnęli ci kozła zamiast kozy.

Przekonawszy się, w czym rzecz, mełamed na drugi dzień, wczesnym rankiem, wziął kozła na sznurek i hajda z powrotem do małego miasteczka wycofać pieniądze.

* Hebr., nauczyciel w elementarnej szkole religijnej (chederze).

Mijając znajomą już karcznię, pomyślał: „Ciężko mi na sercu, trzeba się wódki napić, pokrzepić się nieco”. Wprowadził zatem kozła do stajni, a sam wszedł do karczmy wypić łyk wódki. Opowiedział karczmarzowi o nieszczęściu, jakie go spotkało – sprzedano mu kozę, ale się okazało, że to kozioł. A teraz prowadzi kozła z powrotem do miasteczka.

Poszedł więc karczmarz do stajni, zabrał kozła i przyprowadził znów kozę.

Mełamed dopił wódkę, zabrał kozę i powędrował z nią do miasteczka, gdzie urządził taką awanturę, że zbiegli się wszyscy mieszkancy.

– Co się stało?

– Jak mam nie krzyczeć, skoro zamiast kozy wetknęto mi kozła – i rzucił się na człowieka, który mu sprzedał kozę. – Masz tu z powrotem swojego kozła!

– Ty niemoto! Co za kozioł? Jaki kozioł? – sztydził z niego i kpili. – Przecież to koza, nie kozioł!

– Chcecie mi teraz wmówić, że to koza, skoro to jest kozioł! – lamentował mełamed.

Tak więc handlarz krzyczał, że to koza, a mełamed z Chełma się upierał, że kozioł.

– Kozioł!

– Koza!

– Kozioł!

– Koza!

– Nie ruszę się z miejsca, póki od samego rabina nie otrzymam zaświadczenia na piśmie, że to koza, inaczej w to nie uwierzę – krzyczał Żyd z Chełma.

Wobec tego do rabina udała się cała trójka: człowiek, który sprzedał kozę, chełmski mełamed i sama koza.

Miasteczkowy rabin też nie był specjalistą od takich spraw i nie mógł stwierdzić z całą pewnością, czy to jest koza czy kozioł, zawezwał zatem swoją małżonkę. Rabinowa bardzo uważnie obejrzała zwierzę ze wszystkich stron i orzekła, że to koza.

Wobec tego rabin wydał mełamedowi pismo z własnoręcznym podpisem zaświadcujące, że to jest koza, nie żaden kozioł.

Wziął więc mełamed kozę i orzeczenie rabina i powędrował do domu.

Przechodząc ponownie obok karczmy, powiedział sobie: „Z Bożą pomocą okazało się, że koza jest naprawdę kozą, a nie żadnym kozłem, mam też stosowne pismo od rabina, wobec tego naprawdę należy mi się łyk wódki”. Wprowadził kozę do stajni, a sam wszedł do karczmy po łyk wódki.

I znów karczmarz poszedł zabrać kozę i zamienić ją na kozła.

Mełamed wypił wódkę i powędrował ze swoim nabytkiem do Chełma.

Po przybyciu do domu napadł na żonę, obrzucając ją przekleństwami i wyzwiskami: „Jak to możliwe, żeby córa żydowskich rodziców nie poznała się na kozie? To była koza i jest koza, a teraz ją weź i wydójl!”.

Żona mełameda wzięła więc dzban i spróbowała wydoić do niego kozę, ale mleko nie szło.

– Co za utrapienie mam z tobą – złorzeczyła i przeklinała męża – znowu przyprowadziłeś mi kozła.

– Co ty wygadujesz, przecież mam orzeczenie samego rabina, że to jest koza. Dójl ją, do diabła, powiadam ci!

Jęła więc doić mocniej, ale kozioł się zeźlił i zaczął wiergać. Mełamed przytrzymał kozła, a ten go tak ubódł rogami, że nieszczęśnik zawirował jak bąk, po czym złapał kozła za ogon. A wtedy zwierzę się rozbrykało i w podskokach pogalopowało, ciągnąc za sobą mełameda i waląc go kopytami po twarzy.

Tak oto pędził kozioł po uliczkach Chełma, a mełamed razem z nim. Trzymał się jego ogona i krzyczał:

– Gwałtu, rety, ludzie, na pomoc!

Cały Chełm wyległ na ulice i nikt nie wiedział, jak ratować mełameda, aż nadszedł jakiś obcy i krzyknął:

– Czego wrzeszczysz, głupku z Chełma! Puść ten ogon, to kozioł nie będzie cię ciągnął!

Mełamed puścił ogon, a kozioł dalej pogalopował już sam.

Kiedy mełamed podniósł się z ziemi, otworzył oczy i doszedł do siebie, nie wiedział, jak dziękować obcemu za poradę, która ocaliła go od niechybnej śmierci. Niezmordowanie też chwalił mądrych ludzi, na których można jeszcze trafić na tym Bożym świecie.

HISTORIA O KOCIE

Pewnego razu przyjechał obcy do Chełma, patrzy, a tu zapraszają do nakrytego stołu – kładą nóż i łyżkę, a także kilka witek brzozowych, przybysz pyta zatem, po co te gałązki brzozy są na stole?

Odpowiadają mu, że ponieważ w Chełmie są gryzonie zwane myszami i gdy tylko siada się do stołu, przybiegają i niemal wyrzują jedzenie z ust, trzeba przygotować od razu obok noża i łyżki gałązkę, żeby przegonić myszy.

– Nie potraficie się pozbyć myszy? – dziwował się przybysz.

– A w jaki sposób mielibyśmy to zrobić?

– Co to znaczy „w jaki sposób”? – wytrzeszczył oczy na mieszkańców Chełma. – Za pomocą kota!

W Chełmie nie było wówczas żadnego kota.

Spytano więc przybysza:

– Co to takiego ten kot, co to za zwierzę?

Wyjaśnił im, że to jest mazik, który przepędza myszy.

– Damy panu tyle pieniędzy, ile pan zechce, abyśmy tylko mogli mieć takiego kota – zaczęli go błagać.

– Mogę wam dostarczyć kota – ucieszył się przybysz.

Zapłacono mu więc jak za zboże, a on przyniósł kota.

Miasto się ożywiło. Kot natychmiast rzucił się na zwierzątka i w bardzo krótkim czasie zdołał się z nimi uporać, tak że można było już jeść bez gałązek brzozy na stole.

Ale kot zaczął wyrządzać poważne szkody w całym mieście. Nigdzie nie można było zostawić kawałka mięsa ani odrobiny śmietany czy masła – na wszystko miał apetyt i wszystko wyjadał.

– Okropny mazik – narzekali wszyscy. – Trzeba się go będzie jakoś pozbyć.

– Ale w jaki sposób możemy to zrobić?

Znowu zwołano naradę i stanęło na tym, żeby kota zanieść na strych i zabrać drabinę, aby kot nie mógł się stamtąd wydostać i tam pozostać.

I tak uczyniono.

Rano wszyscy się rozglądają i widzą, że kot znowu jest w mieście.

Zwołano więc naradę i stanęło na tym, że skoro zanesiono kota na strych, a on potrafił zejść stamtąd bez drabiny, to jest on ni mniej, ni więcej tylko nawiedzoną duszą, dybukiem i trzeba mu zadać tikun*.

– A jaki można mu zadać tikun?

Wobec tego jeszcze raz zwołano naradę i stanęło na tym, że trzeba kota zabrać w sobotę do synagogi i dać mu trzecią aliję**.

I tak się stało.

Zaprowadzono zatem uroczyste kota w szabat do synagogi, posadzono obok rabina przy ścianie wschodniej*** i czekano na czytanie ze zwoju Tory.

A gdy prowadzący modlitwę zakrzyknął: „Pan kot trzeci!”, kot się wystraszył, skoczył na pulpit, stamtąd na podwyższenie, potem hyc na babiniec, wybił szybę, wyskoczył oknem i uciekł.

Wówczas wszyscy się przekonali na własne oczy, że jest to po prostu mazik, który może ludzi rozszarpać, a wobec tego trzeba go zabić.

* Hebr., naprawa, restytucja – termin z doktryny kabalistycznej.

** Hebr., wznoszenie się, wstępowanie na górę, tu: wywołanie do czytania fragmentu ze zwoju Tory. Każde czytanie jest podzielone na kilka części. Kolejnych czytających wywołuje się, podając ich imię wraz z numerem fragmentu.

*** Hebr. *mizrach* – wschód, podczas modlitwy należy być zwróconym w stronę wschodnią, tj. w kierunku Jerozolimy. W wielu synagogach na ścianie wschodniej umieszczona jest ozdobna tabliczka. Tu gromadzi się zazwyczaj gminna starszyzna.